NASZ ŚWIAT

TYGODNIK

DLA NASZEJ MŁODZIEŻY

(BEZPŁATNY DODATEK DO „GAZETY MAZURSKIEJ").

Nr. 27. WARSZAWA-DZIAŁDOWO, GRUDZIEŃ 1929 R. ROK I.

„CHOINKA" u studentów korporacji „Filadelfja".

W sali konfirmacyjnej przy Zborze ewangelickim w Warszawie odbyła się w niedzielą dnia 8 grudnia r. b. bardzo miła uroczystość. To młodzież ewangelicka, która kształci się w Warszawie na uniwersytecie i innych wyższych szkołach, urządziła „Choinkę".

Przy długich stołach zasiedli liczni studenci i studentki, którz serdecznie podejmowali zaproszoną „starszyznę". Przy choince, na której płonęły dziesiątki świec, odśpiewano chórem kolędy, słuchano gry na skrzypcach i fortepianie, oraz śpiewu — ucznia i uczennic Warszawskiego Konserwatorjum Muzycznego.

Na wstępie odczytany został rozdział z Pisma Świętego, opisujący Narodzenie Pańskie. Do zebranych przemówił ks. profesor Szeruda, oraz ks. prof. K. Michejda, który wspomniał o pięknym polskim zwyczaju łamania się opłatkiem w dniu wigilijnym. Wobec tego, że jednak nie wszyscy ewangelicy w Polsce obserwują ten tradycyjny zwyczaj łamania się opłatkiem przy składaniu sobie życzeń wigilijnych, rzucił ks. prof. myśl, ażeby młodzież polsko-ewangelicka zechciała się dowiedzieć i spisać, gdzie, w których stronach zwyczaj ten istnieje. Ślązacy cieszyńscy bardzo są doń przywiązani.

Na zakończenie uroczystości przybył tradycyjny „św. Mikołaj", staruszek siwobrody i przyniósł w worku liczne podarki. Dużo było pociechy, kiedy po imieniu wywoływał „dzieci", chłopców i dziewczęta, kiedy im groził palcem, napominał, całował w czoło „dzieci", które niekiedy wzrostem przewyższały „Mikołaja". Gościńce, rozdawane przez „Mikołaja", były nietylko ładne, ale i dowcipne.

Wśród obdarzanych przez „św. Mikołaja" były też i młodsze panienki i chłopcy. Najmłodszymi gośćmi, dzielnie śpiewającymi i najbardziej cieszącymi się z podarków — były dwie małe Szerudzianki: Wandzia, uczennica podwstępnej klasy gimnazjum imienia królewny Anny Wazówny, i Marylka, która jeszcze do szkoły nie chodzi, serdeczne przyjaciółki studentów i studentek korporacji ewangelickiej „Filadelfja".

Janka Orlińska.

❀ ❀ ❀



Rewja wojskowa na Placu Marszałka Piłsudskiego w Warszawie w dniu Święta Narodowego 11 listopada 1929 roku.

KOLĘDNICY.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dni, to ckniło się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyla się jeszcze wyspał i wyleżał,ża boki bolały.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś, jak parobkom, chłopaki pieńki przynosili ze dworu, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem, w ziemię też już zapadał, przygarbił się, kiej staruch, i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwalił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze dogadywały, między sobą tylko, wrzeciona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzieniegdzie i kółko warczało, ale niewiela, bo niedowierzały zbytnio tym nowomodnym wymysłom, woląc prząść po staremu na przęślicach.

Chłopaki, a czterech ich było wyrosłych, jak sosny i już prawie pod wąsem, skręcali powrósła przy drzwiach, reszta zaś parobków rozwalała się po kątach, kurząc papier .., szczerząc zęby i prześmiewając się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a starsze jeszcze rade dokładały swoje, był więcej było do śmiechów i zabawy.

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął jeden z obecnych.

— Ino ich patrzeć, bo są już u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe i Filipki chłopaki!

— Idą już, idą! — zaczęły wołać dziewczęta, bo się rozległ przed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się rozlegać w sieni: to kogut piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im ktosik na piszczałce; wreszcie drzwi się otwarły i przodem wlazł chłopak, przyodziany w kożuch do góry wełną, z czapą wysoką, przysmolony na gębie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długiem powrośle onego niedź-

wiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z kożuszanym łbem, z ruchającemi się uszami z papieru i z ozorem czerwonym, może na łokieć wywalonym, do rąk zaś miał przywiązane kije, okręcone w grochowiny i wrażone w trepy, że chodził niby na czworakach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem, ostremi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, to jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty, na piszczałce przygrywający, i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc nimi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokot, zabeczał jak baran, zarżał niby ogier rozgrzany i zaczął wykrzykiwać:

— Niedźwiedniki my z kraju dalekiego, z za morza szerokiego, z lasu wielgachnego! gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kiełbasami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, świnie po wodach pływają i deszcze gorzałką padają; niedźwiedzia my srogiego wodzim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne! tośmy przyszli z kraju dalekiego, a za Dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen!

— Pokażcie, co umiecie, a może się dla was znajdzie co w komorze, — rzekł gospodarz.

— Pokażemy wraz! Hej! graj, piszczało! tańcuj, Misiu! tańcuj!—zakrzyczał wodziciel, kropiąc niedźwiedzia kijem.

A na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutą, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać: wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go to powstrzymywał, a pytą wokół prał co wlazło i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny.

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziemi, ryczał, ucieszne skakał, to dziewczyny brał wpół temi drewnianemi kulasami i ciągnął w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwaliła od tych wrzasków, gonów i śmiechów!

Opatrzyła ich suto gospodyni, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słychać było na drodze wrzaski i naszczekiwania psów.

Wł. St. Reymont.

Z opowiadań Sabały.

(Dokończenie).

II.

Włazimy w jakieś rozpadliny i dziury, a turnie to się jakby rozstępowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaszliśmy do wnętrza. Patrzym, a tu tyle ludu, a wszystko leży, głowy na siodłach, a brody mają po pas.

Zaczęliśmy kuć. Ja wbijałem ćwieki i podkowym do kopyt przybijał, a on nogi trzymał. A jakiem już wszystko, co gdzie brakowało, ponaprawiał, nabrał wojak strużyn z kopyt, wsunął mi w torbę i tak powiada:

— Masz tu zapłatę!

Pomyślałem sobie, że kpił ze mnie, alem się z nim nie sprzeczał, choć mi strasznie markotno było, bo cały dzień minął. Wziąłem torbę i, wychodząc, wysypałem te strużyny; ale kiedym wyszedł w pole, patrzę w torbę, a tu zamiast strużyn, bom nie wszystkie wysypał, są dukaty. Było ich kilka. Gdybym był strużyn nie wysypał, byłbym się poratował dość godnie, ale musiałem być niegodzien. Pomyślałem sobie:

— Dziadowi nie daj konia, tylko torbę i kij; — i poszedłem.

Zachodzę do chałupy, a baba mnie zębami przyjęła:

— Gdzieś ty był tyle czasu, że cię trzy dni w domu nie było?

Nie wiedziałem, że ten czas tak prędko przeleciał,—mnie się chwilką wydawał, ale pomyślałem sobie:

— Nie będę się z głupią babą sprzeczał, bo to u nich włosy długie, ale rozum strasznie krótki.

I kułem potem dalej to siekiery, to co się gdzie trafiło, aż tu znowu po kilku latach przyszedł mój wojak, i znowum mu robił podkowy, a gdy mu już dość narobiłem, poszliśmy tam, gdzie pierwej. Myślałem sobie:

— Nie będę ja już taki głupi: nie będę strużyn rzucał.

Kujemy. Zaciąłem się w palec — i zakląłem głośno, a tu co się nie robi, wstają ci naokoło. Mnie strach zdjął. Jeden się pyta:

— Bracie! czy już czas?

Ale mój wojak tak mu powiada:

— Nie jeszcze, śpijcie dalej!

Na mnie się ostro popatrzył i pogroził mi palcem. Gdyśmy kuć skończyli, znowu mi wsypał garstkę strużyn do torby. Idę. Kiedym wyszedł, patrzę w torbę, ile dukatów będę miał, a tu w torbie trzaski z kopyt, jak były. Rozłościłem się, bo mi czasu było żal, alem sobie potem powiedział:

— Toć przez to dziadem nie będę.

Wysypałem trzaski i poszedłem. Do karczmy wstąpiłem, do Żyda! Wypiłem, a kiedy się język posmaruje, lżej chodzi. I tak wypaplałem wszystko Żydowi. Żyd rozgadał po świecie, com mu naopowiadał. I teraz lata lecą i lecą, a konie niekute, bo tam bylekogo nie puszczą. Ja za karę zaraz zaniemogłem i leżę tak już wiele lat. Z Panem Bogiem nie będziesz w karty grał.

Tak to gadał mi ten Fakla, a łzy to mu ciurkiem z oczu leciały.

Z. Urbanowska.

Kto pierwszy odgadnie?

ZAGADKA 1-sza.

Przez „**o**" — dojrzałe, przynętą są smaczną,
bez „**o**" — posłuchaj, zaraz beczeć zaczną.

ZAGADKA 2-ga.

Przez „**o**" — z piernikiem wchodzi w parze,
Przez „**g**" — raju stracone miraże.

Rozwiązania z Nr. 26 „Nasz Świat": Zagadki 1-ej: Owca.
Zagadki 2-ej: Powóz.

Druk L. Mioduszewskiego w Warszawie, Złota 45, tel. 147-94.